JULIUSZ GERMAN



BURSZTYNOWY DWÓR

Nr. 22.

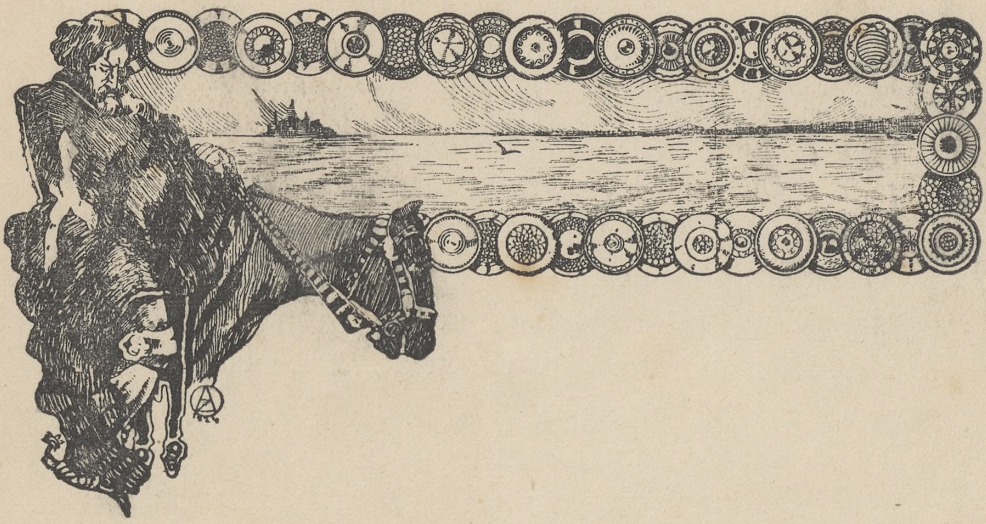
JULJUSZ GERMAN

BURSZTYNOWY DWÓR

BAJKA

LWÓW—WARSZAWA—KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1922

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE



Dawno to było —

A może i niedawno, bo śniła się ta bajka komuś, który żył teraz.

Był raz, dzieci moje kochane, młody rybak.

Mieszkał nad morzem, na tym polskim brzegu, co po wiekach do Ojczyzny znów powrócił.

Rodziców już nie miał. Żył sam w chacie, skleconej z jodłowych desek. Ta chata, łódź z żaglem białym i sieci rybackie całem były jego mieniem. Pogodną i czystą miał duszę, jak morze, opromienione przejrzystym świtem poranku. A jeśli czasem, niby powiewem burzliwych chmur, rozciągających się nad zatoką, myśli jego mgłą smutku się zasnuwały, to jedna tylko tego smutku była przyczyna:

Że był sam.

We wyniosłym domu, o dachu pięknie obrobionym w kształt wieżycy i wzorzystemi muszlami pokrytym, mieszkała w samym środku nadmorskiej osady stara, bogata wdowa po zamożnym kmieciu. Dobra wszelkiego w bród tam było. W zasobnych komorach znalazłbyś wiele sztuk cienkiego płótna i sukna barwionego błamy i dzbany kunsztowne, w kwiaty malowane.

Lecz najcenniejszym domu tego dobytkiem była wdowy młodziutka córka.

Wysmukła jak sosna, z twarzą niby mleko i róże, z oczami pełnemi błękitnego śmiechu, sławną była z urody na całe pobrzeże.

Gdy rozpuściła włosy jasne jak len, słońca żywym blaskiem grające, płaszcz warkoczy okrywał ją aż do stóp, że wydawała się czasem ludziom boginką cudowną i dziwem i w zachwyceniu patrzyli na nią wszyscy.

Nazywała się Liljanna.

Nie śmiał zbliżyć się do niej młody rybak. Zdaleka tylko ścigał oczami postać jej uroczą. Jaśniejszym był mu każdy dzień słoneczny, w którym ją widział i siostrą słońca zwał ją cicho w duszy.

Stanęła raz koło niego niespodziewanie, gdy na piasku suszył i naprawiał sieci.

Drgnął i gorącym rumieńcem twarz młoda mu spłonęła. Nad wiązadłami sznurów niżej schylił głowę.

— Czy lęk przede mną zbiera cię, rybaku, że nie podnosisz ku mnie wzroku? — spytała słodkim głosem.

— Nie lęk to, lecz podziw dla twej piękności oczy moje pokorą osłania, ty, która słusznie zwiesz się Liljanną, bo lilji zapach przed tobą się kłoni — rzekł młody rybak.

— Podziwiać ci wolno, — zaśmiała się dumnie — lecz wiedz, że nie dla ciebie moja piękność kwitnie. Ubiegają się o nią daremnie najbogatsi z okolicznych wsi i najurodziwsi młodzieńcy. Nawet tam, z pogranicza, gdzie mieszkają w grodach warownych zbrojni nasi sąsiedzi, przyjeżdża czasem przed dom mojej matki rycerz w złotym szyszaku i srebrnym pancerzu i, w ukłonie dwornym kolano zginając, prosi, by mógł mnie żoną zawieźć do swego zamczyska. Lecz wraca samotny, bo ku nikomu serce moje się nie przychyla.

— Na kogoż więc czekasz, Liljanno? — spytał rybak, patrząc na nią z zachwytem i żalem wielkim, bo słowa jej „nie dla ciebie moja piękność kwitnie, nie dla ciebie“ — ściemniły mu na chwilę jasność słońca i morza i wydało mu się, że czarne chmury otuliły go całego i że sam jest, jak nikt, nikt na świecie.

— Na tego, który cud mi pokaże, godny mej piękności! — zawołała, uśmiechając się oczu prześlicznym błękitem i ręce tęsknie przed siebie wyciągając.

Powiał wiatr od brzegu, włosy jej jasne rozrzucił wieńcem u czoła, miękką, jedwabistą ich oponą owinął całą postać dziewczyny, że stała jakby obłokiem złocistych, wonnych iskier okryta. A fale morskie u stóp jej białych rozpryskiwały się pianą niby ze śniegu i srebra i wraz cofały się w głębię.

Zgarniała rozpuszczone włosy, śmiejąc się do fal i do wichru.

— Patrz! — krzyknął rybak. — Co to błyszczy u twoich stóp? Czy blask to twych włosów w słonecznym promieniu uwięziony, czy też z pod nóg twych wyrastają klejnoty?

Schyliła się Liljanna.

— To kawał bursztynu pod stopy przyniosła mi fala.

Wzięła go do ręki, pod blask słońca podniosła.

— Słodyczą miodu świeci i złotem, rozpuszczonem w krysztale. Mam w domu, w skrzyni rzeźbionej, z takich morskich kamyków naszyjnik. Lecz, widzisz, w tym bursztynie zakrzepł w środku jakiś owad nieżywy...

Odrzuciła w piasek podarunek fali.

— Piękniejsze i czystsze, bez najmniejszej skazy, lśnią w mym naszyjniku tych morskich bogactw owoce.

Marzeniem napełniły się jej oczy błękitne, zaśmiała się, patrząc wzgardliwie na nędzną postać młodego rybaka.

— Chciałabym, chciała, żeby wyrosło
światło tych ozdób — w pałacu cud.
Dajże z bursztynu mi łódź i wiosło
i w bursztynowy zawież mnie gród.
Niech w nim jaśnieje, niech w nim się pali
słońca, skrytego pod morzem, czar.
Wieże niech będą z pian srebrnych fali,
wiecznego śmiechu niech gra w nim gwar.
Tam blask mnie uczci jako królewnę,
żem najpiękniejszą z ziemskich cór.
Za tę piosenkę, za słowa śpiewne
o daj mi bursztynowy dwór!
Może się wtedy ku tobie skłonię,
może się serca spłomieni chłód;
zarzuć sieć śmiało w te morskie tonie,
może z nich szczęścia wyłowisz cud.

Rozłożył rybak ręce z rozpaczą.

— Szydzisz ze mnie nielitościwie. Skądże ci wezmę dwór z bursztynu? Czarów nie znam, biednym i samotny.

— Więc żegnaj! — krzyknęła. — I zapomnij, że istnieje na świecie Liljanna!

W tej chwili zjawił się nagle między nimi starzec z siwą brodą, w skromnym stroju rybaka. Oczy miał błyszczące jak gwiazdy w nocy i pełne powagi, a nad łysą głową unosiła mu się jakby obrączka ze złotych promieni.

Spojrzał na piękną dziewczynę i rzekł, wznosząc ręce do góry:

— Spełnia się zawsze każde marzenie,
więc ich pilnujcie, o ludzkie dzieci.
Kto miłość skrywa w złej dumy cienie,
temu przez mękę jasność zaświeci.

— Ktoś ty, starcze? — spytała strwożona dziewczyna.

— Rybak ubogi, — odpowiedział łagodnie — jeden z Bożych sług, jak my wszyscy.

I zniknął tak nagle, jak się zjawił, jakby na skrzydłach wichru odpłynął, który zerwał się zdaleka i wzburzył powierzchnię gładkich fal tysiącem śnieżystych wzgórków.

A równocześnie zaszumiało silniej, wionął gorący powiew, wzbijając tumany piasku, skłębiła się nadbrzeżna toń.

I w tym szumie i świście przemknął koło młodego rybaka i dziewczyny jeździec na czarnym koniu, w czarnym płaszczu, który rozwiewał mu się nad ramionami jak posępna chmura. Ponurym i ognistym wzrokiem popatrzył na Liljannę w przelocie i zawołał, zrywając z głowy kapelusz z czarnem piórem:

— Przyjdę po ciebie w bezgwiezdnej nocy,
boś piękna nad wszystkie dziewice.
Zaczarowanej jam pełen mocy
i dziwów znam tajemnice.
Wij wieniec ślubny, wij z rozmarynu,
rozbłyśniesz urody-cud kwiatem.
Ja cię zawiodę w dworzec z bursztynu,
gdy noc zapadnie nad światem.

Zakryła oczy rękami Liljanna i dreszcz nią wstrząsnął, bo strasznym wydał się jej ten rycerz czarny, co jak chmurna strzała błyskawicznym pędem koło niej przeleciał i jak piorun przepadł w obłokach, gromadzących się woddali.

Lecz wraz z lękiem ogarnęła ją ciekawość niezmierna.

Jakież to tajemnice przecudowne odkryćby się jej mogły! Jakież dziwa! Czyżby mogła ujrzeć bursztynowy dwór i w nim królować? Wspaniałym i bogatym panem musi być ten rycerz tajemniczy. Szkoda tylko, że wzrok ma tak ponury.

— Strzeż się go, strzeż, Liljanno! — zawołał młody rybak, jakby czytając w jej myślach. — Nie jest on dobrych potęg zesłańcem! Nieznanych uroków groza w nim ukryta i cieniem nocy osłania się złowieszczym. Strzeż się go, strzeż!

Niepokój zdjął go o dziewczynę serdeczny. Poczuł nagle, że choć nieżyczliwie nań patrzy i może nim gardzi, oddałby chętnie swą młodość, – skarb jedyny, — by jej żadna nie zdarzyła się zła przygoda. Wolałby już raczej, by jego samotna i smutna dola jeszcze bardziej się zaciemniła, byle jej tylko niebezpieczny żaden cios nie zagroził. I dziwna słodycz zstąpiła mu do serca.

— Nie dbam o twoje przestrogi — odrzekła schmurzona odchodziła powoli w zamyśleniu.

— Pomnij na słowa dobrego staruszka! — zawołał jeszcze za nią.

Odwróciła się na chwilę.

— Jednak ładne oczy ma ten młody rybak — pomyślała sobie. — Jasne i ciepłe. Może nikt jeszcze tak dobrze, jak on, na mnie nie spojrzał.

Ciężkiemi chmurami pokryło się niebo. Już tylko woddali rozwiewały się jej złote warkocze, niby słońca promień ostatni.

— Burza wielka nadchodzi i rozpęta się pod wieczór — rzekł rybak do siebie, patrząc na kołyszące się niespokojnie wody oceanu i na stada białych mew, które z trwożliwem zawodzeniem krążyły nad falami.

Podjął z piasku porzucony przez Liljannę kawał bursztynu, zarzucił sieci na ramię i poszedł do swej nędznej chaty wśrod skał nadmorskich.

Usiadł na ławie przy okienku, podparł ręką czoło.

I lęk o tę śliczną dziewczynę, która najbliższą, najdroższą na świecie nagle mu się stała — i ogromna samotność taką przygniotły go żałością, że z oczu poczęły mu płynąć łzy gorące i spadać na kawał bursztynu, który trzymał w dłoni.

I oto nastąpiło coś dziwnego!

Ciemna jego izdebka rozsłoneczniła się światłem złocistem, niby strugami miodu, roztopionego w krysztale.

Powiał słodki zapach róż.

I zamiast odłamka bursztynu, który przed chwilą miał w ręku, ujrzał młody rybak w swej dłoni cudnego ptaka o białych skrzydłach, srebrnopiórego, z wilgotnym różowym dzióbkiem i oczkami, błyszczącemi jak maleńkie gwiazdeczki. Nim zdążył krzyknąć z podziwu, ptak zmienił się nagle w młodzieńca o szlachetnem i pięknem obliczu, w białej przepasce na płowych lokach, odzianego w szaty, białe jak śnieg.

Młodzieniec położył rybakowi rękę na ramieniu i rzekł głosem pieszczotliwie kojącym i dźwięcznym jak granie lutni:

— Nie bój się, nie dziw, bracie mój,
nie lękaj się jasności.
Przychodzę, zdobny w prawdy strój,
przychodzę — stróż miłości.
Jest chwila, gdy już smutku kres,
gdy smutku chmury giną:
cud wstał z gorących twoich łez,
z żalu nad twą dziewczyną.
Każdej samotnej strzeże łzy
anielski duch skrzydlaty,
zasiewa ją w przyszłości mgły,
by z łez szczęść wzrosły kwiaty.
Spadła na bursztyn twoja łza,
w bursztyniem był więziony.
Swobody pieśń mi teraz gra,
swobody dźwięk złocony.
Otoś serdeczny, otoś brat,

z zaklęcia tyś zbawiciel.
Więc jako twój przychodzę swat,
przychodzę — pocieszyciel.

— Młodzieńcze przedziwny! — zawołał młody rybak. — Ktoś ty i jak to się stało, żeś najpierw tkwił w kawałku bursztynu jako zasuszony owad, żeś potem ptakiem z niego wyleciał i wkońcu do swej prawdziwej, zda się, powrócił postaci?

— Wysłuchaj mej opowieści — rzekł młodzieniec.

— Wiedz o tem, że z zacnego pochodzę rodu i złe losy, których doznałem, z mej własnej zrodziły się winy.

Na wzgórzu, wśród sadów, kwitnących jabłonią i wiśniami, wznosiło się dworzyszcze moich rodziców.

Na szczyty drzew się wspinając, patrzyłem na pola zbóż, na łąki, kwiatami barwne, na wsie, na lasy i na morze dalekie. I widziałem na skraju nieba w zorzy wieczornej nieraz wieże zamków wyniosłe i baszty warowne, nad któremi czarne powiewały sztandary.

— Sąsiedzi tam nasi mieszkają, — rzekł mi mój ojciec — groźni ludzie o sercach oschłych i okrutnych. Widzisz, jak słońce nad murami ich grodów krwawą rozpina zasłonę. Niech Bóg cię strzeże, byś kiedy do nich się przybliżył.

Ciekawość zdrożna nie dawała mi jednak spokoju.

To też, niepomny rodzica dobrego przestrogi, wybrałem się raz z domu cichaczem i po długiej wędrówce stanąłem nad granicą. Obcy jakiś, zimny wiatr powiał z tamtej strony.

Po chwili, rozglądając się wokoło, ujrzałem dziewę o białej twarzy, z włosami czerwonemi jak płomień, na koniu goniącą po polu. Pierś miała okrytą blachami zbroicy, łuk w ręku trzymała i choć urodną była i pięknej postawy, twardym jak kamień blaskiem świeciły jej oczy. Strzelając celnie z łuku, przeszywała ostremi grotami, których pełny sajdak miała przy siodle, ptaki, w błękicie przestworu niewinnie latające i gdy ptak pod nogi jej konia upadał skrwawiony, złym i okrutnym śmiała się śmiechem triumfu.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głowy i zaczęła mówić do mnie słowami, których nie rozumiałem, które były ostre jak końce mieczów i chrobotliwe jak ścierające się o siebie głazy. Gdym w zdziwieniu jej słuchał, uśmiechnęła się pogardliwie i naszym językiem do mnie przemówiła. Milszą i ładniejszą wtedy mi się wydała. I ja spodobałem się jej widocznie, gdyż zaprosiła mnie, bym do jej zamku z nią podążył.

Chociaż brzmiał mi jeszcze w uszach ojca głos ostrzegający, w zuchwałej ciekawości skłoniłem się do jej namowy.

Weszliśmy przez most zwodzony w podwórze brukowane, otoczone wysokiemi jak skały murami, z których ponurą wiało czarnością.

W komnacie, obitej ciemnem suknem, pełnej mieczów, dzid i toporów, powitał nas mąż w stroju rycerskim, z posępnemi i ognistemi oczami, w czarną, lśniącą odziany zbroję i czarnym owinięty płaszczem. — — —

Drgnął młody rybak na te słowa młodzieńca i niespokojnym wpatrzył się w niego wzrokiem.

— Spojrzawszy na mnie, — mówił dalej młodzieniec — skrzywił się mąż ów z niechęcią i odrazą i zawołał:

— Cóż to za młokosa z rodu nędznych niewolników sprowadziłaś tutaj, siostro moja?

Oburzeniem krew we mnie zagrała.

— Mężu ponury, — krzyknąłem — jak śmiesz tak mnie nazywać! Wolnem jest nasze plemię i służyć nikomu niezdolne! Jak wiatr swobodne, co po polach szumi, jak ptak, co leci do słońca! Od pól i ptaków zwiemy się Polacy!

Zaśmiali się oboje szyderczo.

— Na takie ptaki mam ostre strzały w mym kołczanie — zawołała dziewa czerwonowłosa.

— A na wichrów swawolę są zamków potężne ciemnice — rzekł groźnie rycerz.

— A jakie waszego plemienia jest miano? — spytałem bez lęku.

— We waszym, rozlewnym jak woda, języku, Niemcami nas zwą — rzekła dziewa.

— Niemiec, — powtórzyłem w zamyśleniu — więc ten, który ciągle czegoś nie ma, któremu nie wystarcza swoje.

— Który nie ma strachu przed nikim, przed Bogiem i przed szatanem, który czarów moc zna okropnych i na pana stworzony jest wszystkim — rzekł czarny rycerz i rękę wzniósł do góry. Zadzwoniły przejmującym spiżowym dźwiękiem zawieszone na ścianach bronie.

I dodał mąż ponury:

— Gdyś już tu sprowadziła przybysza z rodu tych, co słowo wielbią zamiast czynu, pozostać u nas musi i sług naszych zwiększy gromadę. A gdy się zahartuje i ukrzepi, gdy serce kamiennie mu zmężnieje i gdy wiecznej uległości złoży nam przysięgę, może kiedyś twej ręki dostąpi, gdyż widzę, że życzliwem okiem patrzysz na gładkie jego lica.

— Do domu mnie puśćcie! — zawołałem z rozpaczą.

— Już nasz jesteś — rzekł rycerz i ciężką jak skała dłoń położył mi na ramieniu.

Próżno wydzierałem się do ucieczki. Zamknęły mnie wrogiego zamku czarne mury. W trosce i smutku pędziłem dni moje, w tęsknocie wielkiej do dobrych rodziców i do ojczystych stron.

Lecz posług żadnych nie chciałem Niemcom

czynić i pomimo gróźb rycerza i próśb jego siostry nie dałem się namówić do przysięgi na wierność im wieczystą. Daremnie kusiła mnie krwawowłosa dziewa, obiecując, że gdy ich woli się poddam, nauczy mnie czarów, które nad ludźmi dają władzę niezmierną.

Uśmiechem zbywałem jej obietnice.

— Cóż to? — rzekł po pewnym czasie czarny rycerz z gniewem — nie wierzy nam ten młokos, nie chce nam być uległym? Niech się więc przekona, jakie w naszych rękach są tajemnice!

I zawołał, rozciągając nade mną ręce, czarnym płaszczem osłonięte:

— Mówisz, żeś jak ptak jest wolny,
więc nędznym bądź ptakiem!
Lecz nie wzlecisz w dali polnej
górnym swobód szlakiem!
Lot twój będzie blisko ziemi,
ciężki lot, nieśmiały.
Ty, z włosami czerwonemi,
gotuj w niego strzały!

Ledwo wypowiedział te słowa, uczułem, że postać moja zmieniła się dziwnie i skurczyła. Maleńki uczułem się i lekki i do połowy wysokości otaczających mnie murów uniosłem się chyżo. — Ulecieć, ulecieć do swoich! — pomyślałem z radością. Lecz wnet świsnął koło mnie grot połyskliwy, że posypały się z moich



skrzydeł pióra i w trwodze osunąłem się na podwórze zamkowe.

— Uciec nie zdołasz! — zawołała dziewica. — Zresztą, gdybyś nawet to uczynił, w postaci ptaka pozostałbyś na zawsze, gdyż nikt, wyjąwszy nas, nie mógłby w kształt człowieka znów cię odczarować.

— Pozostaniesz tak długo w tej zmianie, aż woli naszej ulegniesz — rzekł rycerz.

Jeszcze gorsze nastały teraz dla mnie czasy. Ludzkim mogłem wprawdzie przemawiać głosem, lecz byłem bezbronny, w ptasiej postaci na łup i pośmiewisko wrogom wydany. W górę wzlatywać nie mogłem, jakby ze złamanemi skrzydłami trzepotałem się po kątach. A dziewa o czerwonych warkoczach igrała ze mną, często na cel pocisków swych okrutnych mnie biorąc i z mego płochliwego lęku się śmiejąc. Gdym o zlitowanie ją prosił, łagodniały czasem zadumą oczy jej — twarde jak kamienie. Lecz niedługo to trwało i znów szyderską byłem dla niej zabawą.

Pewnego razu wyjechała konno na łowy w pobliże morskiego brzegu. Leciałem obok niej, uwiązany na złotym sznurku do jej dłoni, na której siedział rączy i złośliwy sokół, przydany mi przez nią na osobnego stróża. Wtem ujrzałem, jak czarny rycerz wsiadał do łodzi ogromnej. Na jej maszcie czarne żagle wydymały się od wiatru.

— Dokąd odpływasz, mój bracie? — spytała dziewoja.

— Płynę, by zwiedzić dwór z bursztynu — odpowiedział, zatulając się w płaszcz i ster silną ujmując dłonią.

Zbladła na te słowa jego siostra — — —

Zerwał się z miejsca młody rybak, do młodzieńca ręce wyciągnął. Lecz ten ruchem ręki nakazał mu milczenie i tak mówił dalej:

— Wielka ogarnęła mnie rozpacz, gdym po dniach długich ujrzał znowu pola, rozrzucone w przestrzeń słońcem uśmiechniętą, gdy wieść od niw ojczystych i rodzinnego domu zdaleka słodkim powiewem mnie owiała. I do Boga z całej duszy westchnąłem, Boga, który, choć światła błyskawic i huki grzmotów kornie pod stopy Mu się kładą, pełen jest świętej dobroci dla kwiatów i ptaków i ludzi, którego imię w leśnych świątyniach chwalą siwowłosi kapłani. Zjawił się na wybrzeżu starzec z długą, białą brodą, w niepozornych szatach pielgrzyma. Nad głową unosił mu się jakby krążek słonecznych promieni złocisty — — —

— Widziałem dziś tego starca! — krzyknął młody rybak.

Uśmiechnął się czule do niego młodzieniec i tak kończył swą opowieść:

— Starzec ten rzekł do mnie głosem dobrotliwym:

— Żeś dom rodziców porzucił i rolę,
żeś ojca nie słuchał przestrogi,
niewdzięcznych dzieci wycierpiałeś dolę,
boś z prawej, synowskiej zszedł drogi.
Lecz złe zaklęcia przez kochanie zginą,
pod ręką bożą zamrze piekieł czar —
i ty, nad swoją zrozpaczony winą,
będziesz, o dziecko, wolny wnet od kar.

— Więc przywróć mi dawną postać, najlepszy starcze! — zawołałem.

— Tego jeszcze uczynić nie mogę, lecz ułatwię ci wyzwolenie — rzekł czcigodny pielgrzym.

I złożywszy dłonie, powiedział, patrząc w niebo:

— Stań się cichy jak brzęk muchy,
drobnym bądź owadem,
by z trudnością te złe duchy
twym goniły śladem!

W tej chwili muszką stałem się maleńką, rozpostarłem skrzydełka i jak punkt w powietrzu nieznaczny, frunąłem w górę.

Lecz dostrzegło tę zmianę czujne oko dziewy o włosach czerwonych. Ze wściekłości blada, puściła na mnie swego sokoła, który, zerwawszy się jak strzała, ognał mnie piorunowym lotem i już dzióbem ostrym i złośliwym mnie dosięgał. Ale dostojny starzec ujął w dłoń zachodzącego

słońca promień, co niby roztopionem złotem kładł się na fali, bijącej o skały nadbrzeżne, w ten blask mnie owinął i zawołał:

— Zakrzepnij słońc na fali złoto,
zakrzepnij w kamień lśniący,
niech się twe blaski nad tym splotą,
co zgub się chroni drżący.

I oto na piasek, pod nogi starca upadł barwiony złociście kawał bursztynu, a w nim ja, bezpiecznie przed wrogów złością ukryty. Próżno sokół o kamień dziób kruszył, daremnie napinała z całej mocy łuk swój niemiecka dziewa, chcąc w mściwym gniewie starca przeszyć zabójczą strzałą. Pękła cięciwa i w drzazgi rozsypały się groty.

A starzec rzekł jeszcze:

— Choć w tej łupinie przemocnie zamknięty
żyć będziesz i widzieć świat boży.
Lecz, że twej matki brzmi wdali płacz święty,
niewcześniej się wolność otworzy,
nim na ten bursztyn ludzka łza się stoczy.
Twa postać ci wtedy się zjawi.
Za twojej matki zapłakane oczy
łza ciężka cię z męki wybawi.

Wysłuchałem wyroku starca z pokorą. Lecz krwawowłosa dziewa krzyknęła w gniewie zaciekłym:

— Na tę łzę długo czekać on będzie! Gdy mnie dostać się nie może i potężniejsze od moich czarów moce przede mną go skryły, niech stanie się niczyim!

I chwyciwszy bursztyn w rękę, cisnęła go w toń morza.

Lecąc w głąb otchłani, słyszałem, jak starzec zawołał potężnym głosem do struchlałej dziewy:

— I morze słucha głosu Boga,
miłością pokonane!
Przed nią ucieka moc złowroga
i piekło jest strzaskane!

— Tu koniec mojej opowieści — rzekł młodzieniec, obejmując młodego rybaka ramieniem. — Wiesz już, jak to się stało, żem w twej życzliwej znalazł się dłoni. Więc raz jeszcze z wdzięcznością do serca cię przyciskam i według sił moich chcę ci być w twem strapieniu pomocny.

— Dziwyś na dnie morza musiał widzieć przecudowne? — spytał młody rybak, patrząc w piękną twarz młodzieńca z wielkiem zdumieniem.

— Widziałem zaiste rzeczy niesłychane, — odpowiedział młodzieniec — które napełniły mnie nauką słodkiej mądrości. A wiedz, że, jak wszystkiem, tak i temi cudami rządzi miłości prawo. Lecz nie pora teraz o tem mówić. Choć do rodziców mi tęskno i do nóg matki chciał-

bym się rzucić i w objęciach ją utulić, w świętej sprawie przyjaźni muszę ci wpierw dopomóc.

— Czy zdołasz skłonić do mnie niechętne serce ukochanej? Choć w krainie przebywałeś czarów i znasz niedostępne może ludziom tajemnice, tego chyba nie jesteś mocen uczynić — rzekł smutnie rybak.

— W twą miłość ufaj! — zawołał młodzieniec. — Zaprawdę, ten, który wierzy, osiągnie zwycięstwo! Patrz, słońce zachodzi wśród chmur ołowianych, nieomylny to znak nawałnicy! Zagasną gwiazdy na niebie, a wtedy ratować nam trzeba przed groźnem niebezpieczeństwem dziewczynę o złotych warkoczach. Śpieszmy, by snadź nie było za późno!

Wyszli z chaty i skierowali swe kroki w stronę mieszkania Liljanny.

Noc już zapadła czarna i w ciemnościach świeciły od czasu do czasu srebrne ognie błyskawic.

Gdy przy ich świetle ujrzeli wzorzystemi muszlami pokryty dach domu starej wdowy, usłyszeli tętent pędzącego rumaka i głos dźwięczny, lecz ponury:

— Zejdź do mnie, zejdź, ty z twarzą z róż!
Przybyłem po ciebie, dziewico!
Przybyłem z wichrem czarnych burz,
ze lśniącą błyskawicą!
Jam to pod matki twojej dom

przyjeżdżał w zbroicy złocistej,
dziś, dzięki twoim dumnym snom,
uwiozę cię w burzy poświsty!
Nie chciałaś wtedy, dzisiaj chcesz,
bo dumie twej niosę spełnienie!
Wśród bursztynowych zamieszkasz wież,
zakwitnie ci twoje marzenie.
Zejdź do mnie ty, biała jak śnieg,
mój rumak błyskawic gna lotem!
Nad morza pogna skalny brzeg,
a dziwów i cudów moc potem!

Zajaśniały w otwartem oknie rozpuszczone włosy Liljanny.

— Tyś to, rycerzu nieznany, dziś w południe mi się zjawił? Czemu czarne, jak noc, miałeś szaty i czarny cię teraz strój okrywa? Przecież kiedyś w złocie i srebrze przyjeżdżałeś z pogranicza?

— Stroje zmieniam jako chcę, a do serca najbardziej czarne przypadają mi szaty — rzekł rycerz. — Pójdź, luba...

Zawahała się Liljanna, ręce z lękiem przyłożyła do twarzy.

— Pomnij, że jako najpiękniejsza będziesz wielbiona i nikt nie może być twych względów ode mnie godniejszy, co czarodziejskich zaklęć znam potęgi! — zawołał.

I nim opamiętać się mogła dziewczyna, za ręce ją schwycił, ogarnął w ramiona, przed siebie

na siodło rzucił i jak wicher w noc poleciał chmurami skłębioną.

Nie zdążyli podbiec i obronić rybak i młodzieniec.

Już zniknął wdali odgłos końskich kopyt i w szumie wichru rozwiewał się krzyk Liljanny.

— To on! — zawołał młodzieniec — wróg mój i krzywdziciel! Śpieszmy w jego ślady, by twą dziewczynę ratować od zguby!

— A czy zdołamy zwalczyć jego czary? — spytał rybak. — Przecież ledwoś przy pomocy czcigodnego starca zdołał z nich się oswobodzić. Nie lękasz się znowu złych losów?

Rozbłysły słonecznie oczy młodzieńca.

— Wspominam słowa dobrego pielgrzyma:

— Lecz złe zaklęcia przez kochanie zginą!

— Twoja miłość puklerzem obu nas osłoni!

I splótłszy się ramionami, pobiegli w noc ciemną.

— Gdy przyjacielem twym się nazywam, nie chcę mieć w sercu żadnej przed tobą tajemnicy — rzekł w drodze młodzieniec. — To też wyznam ci, że chciałbym ujrzeć raz jeszcze siostrę czarnego rycerza, pomimo wszystkich krzywd, które mi uczyniła. Miękł czasem łagodnie twardy blask jej oczu. Może i okrucieństwo będzie kiedyś z jej serca na zawsze wygnane, gdy za grzechy odcierpi pokutę.

Biegnąc śpiesznie, przybyli nad brzeg morza.

Gdy ognisty zygzak nowej błyskawicy rozdarł na mgnienie oka ciężką zasłonę mroku, ujrzeli — daleko już na morzu — łódź o czarnych żaglach, a w niej białą postać Liljanny, z załamanemi rękami przytuloną do masztu.

Młodzieniec o szlachetnem obliczu zawołał.

— Więc gotuj łódź, młody rybaku,
twą wierną i mocną łódź chyżą!
Popłyniem po srebrnych fal szlaku.
Niech wichry się do nas przybliżą!
Niech gromem głos burzy zadzwoni,
popłyniem w otchłanie bez trwogi,
za szczęściem skradzionem w pogoni,
a żagiel rozjaśni mrok drogi.

Gdy tylko odbili łódź od nadbrzeżnych skał, uniosły ją fale spienione wysoko i wraz w przepaść wodną rzuciły.

I, choć sznurami przywiązali się do burtów łodzi, by przed strąceniem w dno morza się uchronić, ostatkiem sił przed natychmiastową bronili się zagładą.

Porwał ich odrazu w szpony burzy odmęt wszechpotężny, zniszczeniem bezlitosnem wściekły. Od brzegu ratującego uniesieni daleko, na pełnem morzu igraszką fal się stali rozhukanych. Smagał ich wichru pęd piorunowy, w strzępy rozdzierał się żagiel biały, w omdlałych ze znużenia dłoniach łamały się wiosła. Przed ich oczami,

zmętniałemi z trudu, wyżartemi słoną i żrącą wilgocią oceanu, ukazywały się wyrosłe z głębi toni potwory upiorne, niby ciemno-zielonych wężów oplotem głów ich sięgające i piersi.

— Biada nam! — zawołał młody rybak. — Nie unikniemy śmierci w kwiecie lat!

— Złe moce, w topieli ukryte, wysłał przeciw nam ten czarny, by pościg nasz za twą dziewczyną udaremnić! — krzyknął pobladły młodzieniec.

I, gdy nowy, oszalały mroczną furją poryw nawałnicy łódź ich wodą napełnił, maszt wątły potrzaskał na wióry i we wir otchłani już ich ściągał, zawołali obaj głosem duszy najszczerszym:

— O broń nas, miłości prześwięta,
co w czystym lśnisz niebios błękicie!
Zniszczenia zdejm grozę i pęta
i jasne i złote daj życie!

Nie przebrzmiało jeszcze echo gorącej ich modlitwy, a oto dziw wydarzył się promienny:

Ugładziły się w jednej chwili niebotycznym nawałem bijące w górę, wzburzone fale. Ucichło wichrów wycie potępieńcze, rozerwała się, blaskiem księżyca rozdarta, ciężkich chmur opona.

A na kołyszącej się łagodnie, w przestrzeń nieskończoną biegnącej powierzchni wód pojawiło się dzieciątko małe, nad którego jasnem czołem złoty krzyż się unosił, którego nóżki

stado białych mew pieściło, od fal pokornych odgradzając je pomostem śnieżystym.

Dzieciątko to wznosiło do góry rączkę, jaśniejącą jak kwiat białych róż, a cisza bezmierna zastygła w powietrzu.

I rzekło słodkim głosikiem, który wszystkich muzyk najcudniejszemi grał tonami i serca zachwycone anielską osnuwał pieszczotą:

— Śpijcie fale w cichym śnie,
uspokój się, morze.
Ja na rozpacz i na łzę
ręce moje złożę.
Nie płacz, nie łkaj, któryś sam,
jam jest pocieszenie.
Miłość stoi u mych bram,
za nią szczęść promienie.
Nie bój się, ty, który drżysz,
pełen bądź dobroci.
Sen ostatni, który śnisz,
cudem się ozłoci.

Najukochańszem i najświętszem wydało się młodzieńcom dziecięcia zjawisko, że twarze na krawędź łodzi schylili. A gdy dzieciątko odeszło wdal po srebrzystej ścieżce księżycowych świateł, które po głębinie morza wstęgą się rozpostarły niby z pereł i skrzących opali, ukazał się za niem starzec w jasnej nad głową obrączce i ręką naznaczył szlak, po czarnych falach śnieżną strzałą lecący.

— Tam nasza droga, tam płyńmy! — zawołał młody rybak.

— Ujrzeliśmy dobrego starca, znak to dla nas pomyślny i łaskawy — rzekł młodzieniec. — A zjawisko błogosławione ufnością nas krzepi i wiarą niezłomną.

Płynęli po morzu czas długi. Choć spokojne już były fale i nie szumiały groźne wichry, bezmiar wód roztaczał się przed nimi ogromny, który przebyć we wielkim trudzie musieli. Zobaczyli wreszcie, ciemnościami ze wszystkich stron otoczeni, jak przewodniczący im szlak śnieżysty wzbił się nagle w górę niby promienna fontanna mgławicowej piany i w mroku zagasnął. A równocześnie uczuli, że dziób łodzi uderzył o twardy brzeg.

Wyskoczyli nań odważnie, przywiązali łódź łańcuchem do cypla skalnego i śmiało podążyli naprzód.

Rzuciła się im naprzeciw czarność wilgotna, szeptów jakichś pełna i syków. Ujęli się za ręce, szli bez trwogi. Wdali zamajaczyło błędne światełko, jak ognik na moczarach. Gdy się do niego zbliżyli, rozświecił się ku nim blask złoty, od którego przejmującem zimnem powiało. Równocześnie zjawiła się przed nimi postać ze skrzydłami ptaka i głową węża, w której jaśniały oczy jak turkusy — i zawołała ludzkim głosem:

— Zagłada tutaj was czeka,
wracajcie śpiesznie do domu!
Tu zguba żywego człowieka,
tu żywy nie ujdzie pogromu!

Rzekli na to, nieustraszeni:

— Po zgubione szczęście nasza droga,
ustąp, w imię wzywamy cię Boga!

Postać ta chciała wtedy rzucić się na nich, ostremi pazurami, długiemi jak sztylety, w piersi ich godząc.

Lecz młodzieniec zawołał, w oczy jej wtapiając głębokie spojrzenie:

— Znam oczu twoich blask twardy,
poznaję cię przemienioną,
dziewico o twarzy hardej
z obręczą włosów czerwoną!
Pomnij, żeś jeszcze jest młodą,
że i ty może, skruszona,
szczęsną zakwitniesz urodą,
gdy czarów spadnie zasłona.
Pomnij, że dobroć zwycięża,
zło przez kochanie przepada.
Zwól się złych czarów oręża,
dobrym bądź chętna i rada!

Na te słowa młodzieńca postać potworna zmieniła się w dziewicę o czerwonych warkoczach, która, zasłoniwszy twarz rękami, ze schyloną głową uciekła.

A z blasku złocistego, przed ich oczami rozświeconego, wyrósł pałac jasny, skrzący cudownie, najeżony ogromem wysokich wież, których wierzchołki lśniły niby srebrna piana fali. Zaś obok złocistych pałacowych murów kwitły kwiaty olbrzymie, większe niż drzewa, splatając się we wysmukłe altany i gaje. Cudownemi były kwiatów tych różnorodne kształty, niezliczoną ich ilość, lecz zapachem nie woniały żadnym.

Widok to był czarowny, ale dziwny, gdyż i ściany i wieże pałacu i kwiatów wspaniałość jedną żółtawozłotą jaśniały światłością, z której nie ciepło szło łaskawe, lecz powiew lodowy i mroźny, dreszczem ziębiący.

— Oto bursztynowy dwór! — zawołali obaj młodzieńcy w zdumieniu.

— Tutaj ukryta jest Liljanna moja i może męki cierpi! — krzyknął młody rybak.

Na wieży pałacowej pojawił się mąż w czarnych szatach, na których odbłyski bursztynu ponurym ogniem się kładły i rzekł potężnym głosem:

— Tak, tu jest bursztynowy dwór,
gdzie słońce jest więzione,
gdy pośród krwawych zorzy chmur
zapada w wód zasłonę.
Tutaj ukryty jego blask,
gdy noc świat w kir otuli
i biorąc ludziom światło łask,

dla nas je chowa, króli.
My słonecznego stróże snu,
czarni rycerze nocy.
Nasze to państwo, kraj nasz tu,
złowrogiej pełen mocy.
Czarny mój zamek w ludzki dzień
i czarne baszt wieżyce.
A gdy na ziemię spadnie cień,
mnie świecą błyskawice.
W ten wówczas wchodzę złoty gród,
z bursztynu w dwór wspaniały,
a choć wieczysty tutaj chłód,
są serca w nim jak skały.
Nie grzeje tutaj słońca żar,
w kamiennym śnie zamknięty.
Lecz tu najwyższej dumy czar,
tu pychy skry zaklęte.
Straszny tu blask i świateł moc.
Poznajcie ją, szaleni,
coście przez burzy przyszli noc
w lodowych kraj promieni.

Te wypowiedziawszy słowa, zaczął pocierać silnie dłonią zrąb krużganku, o który dumnie się wspierał. Wyskoczył z bursztynu pęk bladych iskier. I obaj młodzieńcy uczuli nagle, że te iskry przyciągają ich jakby żelaznym łańcuchem. Mocą straszną zostali uniesieni w powietrze i, jak muchy, na lep lecące, przyklejeni ciasno do bursztynowej wieży. Pod nimi roztwierała się przepaść, a połyskliwa powierzchnia zaklętych kamieni zimno przeraźliwe w krew ich wsączała.

Nim ochłonąć mogli z przerażenia i o sposobie ratunku pomyśleć, ujrzeli przez umieszczone we wieży okno z przezroczystych bursztynowych tafel komnatę we wnętrzu pałacu, przecudnie strojoną, a w niej na łożu leżącą, bladą jak płótno Liljannę.

Klęczał przed nią szereg dziewic, jak ona, bladolicych.

Wielbiły i sławiły jej piękność pokornie, u stóp jej składając najkosztowniejsze szaty, klejnoty z najbogatszych kryształów, kwiatów czarodziejskich bukiety i ogromną, perłami i ognistemi rubinami wysadzaną królewską koronę. Lecz ona odsuwała to wszystko z bolesnym smutkiem w oczach błękitnych.

Do komnaty wszedł czarny rycerz, ugiął przed nią kolano i spytał:

— Za mało ci tych darów mego uwielbienia, o najpiękniejsza? Za mało jeszcze wywyższona twoja uroda?

— Zimnem martwieję wśród chwalb mej piękności — odrzekła ze skargą.

— A chciałaś przecież cudów promienistych, duszą tęskniłaś, by królować w bursztynowym dworze. Jesteś tu, spełniło się marzenie. Bądź mi łaskawą, spójrz na mnie życzliwie, a jeszcze większe odkryję ci dziwa. Rozkaż, a do złocistego wozu skrzydlate zaprzęgnę rumaki i dokoła wyspy lśniącym podążymy lotem. Otworzą





się nam głębin morskich tajemnice, rusałek ujrzymy rój zaczarowany, na twą chwałę zaśpiewa pieśń rozkoszną chór syren prześlicznych, a tobie w piękności podległych. Powiedz, a na zamkowem podwórzu gromada się zjawi rycerzy błyszczących, gonitwy i turnieje najzręczniejsze ku czci twojej odprawi urody. Skłoń się ku mnie, a jutro w czarnym moim zamku na pograniczu wojnę wydam sąsiadom, zniszczę ich i ujarzmię i pod twoje stopy tłum spędzę niewolników, byś jak królowa nad życiem ich władała!

— Nie chcę tego wszystkiego, nie chcę! — zawołała z rozpaczą. — Woń kwiatu daj mi jednego, jedną ciepła żywego iskierkę! Do matki pozwól mi powrócić, do domu!

— Zbyt tu wspaniale, by pachnąć mogły kwiaty, a uwięziony słońca żar zakrzepł w bursztynie — odrzekł rycerz pochmurnie. — Ty zaś w mojej na zawsze jesteś mocy, porywem dumy samaś mi w ręce się oddała, więc skargi twoje daremne. Pomnij, żeś sama pragnęła w bursztynowym być dworze!

Do nóg mu się Liljanna rzuciła, łzami je oblewając, bijąc głową o lśniące kamienie posadzki.

— Puść mnie, ach puść stąd! Tu zginę! — jęczała.

Zadrgało serce młodego rybaka na widok jej męki tak silnie, taką zadrgało gorącą żałością,

że zmiękł bursztynowy głaz, do którego twardo był przylepiony — i z okowów lodowych go wypuścił. Pękła obręcz zaklęcia pod serca powiewem gorącym. Rybak strzaskał śmiałą dłonią przezroczyste tafle okna i wskoczył do komnaty.

Ujrzawszy go, przez łzy uśmiechnęła się Liljanna, a uśmiech ten o zmiłowanie i o ratunek prosił słodko.

Lecz czarny rycerz, niepożądanego ujrzawszy gościa, przekleństwa z ust począł miotać srogie i czarów zgubną moc na niego wyzywać.

Ale o dziwo! Gdy przy ukochanej stanął młody rybak, takim jasnym płomieniem miłości spromieniła mu się dusza, że odbijały się od niej bezsilnie złe czary i piekielne zaklęcia.

Pieniąc się ze wściekłości, zawołał wówczas mąż czarny:

— Gdy kruszeją przeciw tobie moje moce, wiedz, że nad nią, która jeszcze nikogo nie kocha, potężna moja rozciąga się władza! A gdym jej i tu ukryć nie zdołał, gdyś i tu ją wynalazł, tam ją poślę, skąd już nikt na świat jej nie sprowadzi!

— Ostatni raz cię pytam: będziesz mi powolną? — krzyknął, mierząc groźnie Liljannę pałającemi oczami.

— Nigdy! — odpowiedziała, założywszy ręce na piersiach. — Z dumnych marzeń wyleczonam

na zawsze. Mrożą i opuszczeniem krew z żył wysysają.

— Więc idź tam, skąd się nie wraca i niech nikt cię nie ma, gdy nie chcesz być moją! — krzyknął wielkim głosem i, sztylet dobywszy z za pasa, zatoczył nim po trzykroć koło nad głową dziewczyny.

Śmiechem zaśmiał się szatańskim i zniknął tajemniczo.

Młody rybak ujrzał, grozą oniemiały, jak z bladych lic Liljanny uciekła w jednej chwili resztka krwi, jak oczy jej zastygły i o ścianę oparła się martwo i ciężko.

A przez otwarte okno wsunął się nagle do komnaty promień tęczy i łukiem w dal zawiesił się niedościgłą, w mgłach się gubiącą.

I na ten most tęczowy weszła postać Liljanny, ze świateł życia wszelkich obrana, z zagasłemi źrenicami, iść nim poczęła w przestwór, w górę, dalej, coraz dalej...

Próżno wyciągał do niej ręce młody rybak, w szlochu serdecznym pragnąc ją zatrzymać. Coraz bardziej zanikała, po łuku tęczy krocząc już dalekim.

Gdy rybak, rozpaczą złamany, przez okno się przechylał, za odchodzącą ostatnie śląc pożegnanie, ujrzał przy sobie przyjaciela swego, młodzieńca — i dziewicę o włosach czerwonych.

(Ona to, korzystając z chwilowej nieuwagi brata-czarnoksiężnika, młodzieńca z pęt przykucia do bursztynowej wieży wyzwoliła, uniósłszy się nad nim w górę i łzami żalu twarz i piersi mu rosząc. Albowiem iskierka dobroci, w sercu jej głęboko ukryta, roztliła się żywiej na widok tylu niesprawiedliwości i katuszy, które brat jej, niemiecki zły rycerz, wyrządzał).

— Próżno łzy ronisz, rybaku — szepnęła. — Po moście tęczowym w zagrobową krainę idą zmarli.

— Słuchaj! — zawołał młodzieniec. — Przebaczę ci chętnie wszystkie krzywdy, których od ciebie doznałem, jeśli, z tajemną obeznana wiedzą, radę dasz pewną, aby ukochaną memu przyjacielowi powrócić.

— Jeden jest tylko nato sposób — rzekła — i nikt go chyba użyć nie będzie miał siły.

— Mów! — krzyknął rybak.

Szepnęła dziewa czerwonowłosa:

— Gdy chcesz zawrócić z wędrówki w zaświaty
umiłowany nadewszystko cień,
swe własne życie, miłością bogaty,
poświęcić musisz, by wróciła w dzień.

Rybak bez chwili namysłu padł na kolana, ręce wzniósł w niebo i zawołał głosem, z głębi duszy idącym:

— Daję me życie, moje życie młode,
do ciszy morza i pól się śmiejące,
we wiosny ziemskiej wlubione urodę,
oczekiwaniem na szczęście gorące.
Daję je chętnie, byś żyła Liljanno,
byś ty szczęśliwą była i radosną,
byś kwiatem żyła, ukochana panno,
niech grobem darzy los mnie, ciebie wiosną.
Pocóż mi życie, gdy ciebie nie stanie,
oto z tak szczerą je daję ochotą,
jak szczerem było smutne me kochanie.
„Żyj, miła!“ wołam z ostatnią tęsknotą.

I już z okna w przepaść chciał się rzucić, gdy wtem przedziwny zajaśniał cud:

Zapadły się w ziemię bursztynowego dworu zimne mury, a blask słońca, więziony w nich kamiennie, zakwitnął ciepłą, triumfalnie żywą mocą.

Zwiędły i w proch się rozsypały bezwonne a wspaniałe kwiaty dumy, a fiołków i róż zapach uroczy pieszczotą powiał przytulną i łagodną.

I w słońca promiennej jasności, która warkoczy jej złoto cudnie barwiła, we wianku z róż, który na śliczne lica różane młodości kładł kolory, stanęła przed rybakiem żywa Liljanna, z klęczek go podjęła i z uśmiechem rzekła zachwycającym:

— Na tego czekałam, który okaże mi cud godny mej piękności. Otoś ty, młody rybaku!

Poświęcenia strojny urokiem, miłości bezgranicznej zdobny światłem najczystszem, piękniejszyś niż złudne marzenia moje. Serce oddaję ci na wieki i przywiązaniem, równem twojemu ci odpłacę, mój ukochany.

Zapłakał młody rybak świętemi łzami szczęścia, co jak rosa z niebieskich pól na serca ludzkie spadają i czynią je podobnemi sercom aniołów. I tych łez kryształ zwilgotnił się w oczach Liljanny.

Wsiadali do łodzi, by w świcie, wschodzącym w ożywczej świeżości, do ziemi swej odpłynąć rodzonej.

— Siła, przed którą płaszczą się w prochu czarów najwyższe sztuki, zmieniła kształt znanego mi zaklęcia — szepnęła czerwonowłosa dziewica. — Oto nietylko on, ale i ona żyje i — patrz — piękni i jaśni, jak nie z tej ziemi.

Schyliła głowę.

Spojrzał na nią życzliwie młodzieniec.

— Chodź i ty z nami. Porzuć czarny i zawistny Niemców ród, który nawet słońce sili się okuć w kajdany.

Zniżyła mu się do nóg.

— Jeśli pozwolisz, sługą będę w domu twych rodziców ostatnią, by zmyć przewiny moje i grzechy. Obyczajów twardych zapomnę i zgrzytliwej mowy, by waszej nauczyć się dobroci, w której

większa niż w naszych mieczach potęga. A może kiedyś warkoczy mych groźna purpura w milszą ci barwę rozjaśni się złotą....

Gdy łódź po srebrzystych i łagodnych falach ku rodzinnym szybko mknęła brzegom, ujrzeli wdali, jak czarny rycerz, skulony i ponury, bursztynowego na zawsze pozbawiony dworu, samotnie po morzu żeglował, a kruki maszt jego obsiadły i złą krakały mu przyszłość, jeśli się nie poprawi.

Zaś nad nimi, nad Liljanną i młodym rybakiem i nad drugą, niezłączoną jeszcze parą, ukazało się na chmurze śnieżystej, okolonej różowym rąbkiem jutrzenki, małe dzieciątko, nad którego przejasnem czółkiem wielki złoty krzyż się unosił. Stada białych mew niewinne z pod jego stóp leciały, a za niem, kroków jego pobożnie pilnując, szedł w białym obłoku dobry, siwobrody starzec.

A dzieciątko krzyż wzięło w rączkę drobną i błogosławiąc, nad polską rozpostarło go ziemią.

Tu bajki koniec, kochane dzieci.
Pytacie: dawno to było?
Blask słońca jasny nad Polską świeci —
może to wszystko się śniło.
Lecz w śnie jest zawsze prawd złote ziarno
a prawdą: Polski moc wieczna,
której złe czary już nie ogarną,
która żyć będzie słoneczna.

O, to jest prawdą — i polskie morze,
co szumieć nam będzie wciąż sławę —
I z prawd najświętsza: Dzieciątko Boże,
na ziemię tę naszą łaskawe.



Zakład narodowy
im. Ossolińskich